



Gherasim Luca

Czerwone echo

Gdy leży na wznak w trumnie swojego ciała, ulice, którymi zwykła spacerować, długie sale pełne luster, lasy i rzeki stają się przy niej, kobiecie o barwie horyzontu, ogromnym katafalkiem wzniesionym w centrum świata, przy niej, kobiecie, w której poziom i pion raz po raz balansują w chwiejnej równowadze i o której nie sposób orzec, czy śpi, porusza się, pływa, czy też unosi się w powietrzu. Przy niej, kobiecie śmiertelnie pięknej, śmiertelnie kochanej, śmiertelnie nierealnej, świat po raz pierwszy ujawnia swą prawdziwą naturę, ukazując się jako cmentarzysko przerzuczone między narodzinami a śmiercią, między śmiercią a śmiercią.

Wpijam czarne zęby w jej czarne ciało w czarnym pokoju, w którym niezdecydowane, wysokie na całą ścianę lustra odbijają w nieskończoność nasze sylwetki. W czarnym pokoju na czarnym posłaniu przykrytym czarną jedwabną narzutą czuję, jak krew, która pulsuje w moim ciele coraz mocniej i mocniej, staje się po raz pierwszy czerwona. Wgryzam się coraz głębiej i głębiej w ramię kobiety i moje usta wypełniają się pyłem, a może jedynie – spokojem? A jednak nie znajduję śladów ugryzień na jej ciele, które kąsałem tak gwałtownie, czuję je za to na swoich pożądlivych wargach, mam wrażenie, jakby ktoś przebiegał po nich tam i z powrotem. A może to jej ramię pogryzło moje zęby, może życie i śmierć wymieniły się przeznaczeniem? Ubóstwiam świętokradztwo tej miłości na skraju grobu. Obserwuję grupę skamieniałych żałobników pośrodku alei, jakbym podziwiał wiosenny krajobraz. Skamieniałe łyzy na nagrobkach, nagrobne kamienie, wszystkie te bombastyczne celebry w każdym zakątku globu, pomniki i mogiły, wszechświat, który utknął w nieprzeniknionym ruchu; pod nim obrzydliwe rżenie ziemi przywołuje na myśl otwarte oczy trupa. Spotkałem się z ukochaną na cmentarzu i po raz pierwszy pragnienie życia stopiło się z pragnieniem miłości, po raz pierwszy pragnienie życia nie oparło się w traumatyczny sposób śmierci. Nostalgia prenatalnych krain i przecucie pośmiertnego rozpadu spotykają się w ślubnym grobowcu, tam, gdzie panna młoda przyobleka się w trumnę niczym w nocną koszulę i gdzie wymiana uścisków przypomina ironiczną ofertę kilograma wobec godziny. Zapętlenie przestrzeni i czasu w jednym błysku wszechświata i wieczności odnajduje mnie tuż obok trumny owej kobiety. Nikt nie musiał mnie pytać, czy

uczestniczę w narodzinach czy w pogrzebie, czy wewnątrz trumny skrywa zwłoki czy też płód, ponieważ z góry wiedziałem, że uczestniczę i w narodzinach, i w pogrzebie jednocześnie i że usta, ku którym się nachylam, giną i rodzą się na nowo z każdym pocałunkiem.

Śmierć, a przede wszystkim ów miecz, który nieprzerwanie trzyma nad naszą głową, usypia nasze, choćby najbardziej entuzjastyczne, popędy, redukując gest do intencji, krzyk do szeptu, zasłaniając twarz wykrzywioną z rozkoszy bladością całunu. To niebezpieczeństwo czyhające tuż-tuż, będące zwiastunem nowego porządku, przestało wywierać na mnie anihilującą presję. Strach przed śmiercią może mnie powstrzymać przed faktycznym działaniem (zatem nie powstrzyma mnie przed chwyceniem w dłoń rewolweru i byciem wędrownym samobójcą i somnambulicznym zabójcą, z którego wylewa się nienawiść), lecz nie jest w stanie zastopować krwi krążącej w moich żyłach niczym soki w roślinie, a kiedy mówię „roślina”, używam tego słowa w sensie dosłownym, nie przenośnym. Nie mogę popełnić samobójstwa w byle jakiej chwili, powinienem zrobić to w chwili starannie wybranej. Odkąd mara śmierci pojawiła się przy mnie pod postacią znajomej, bliskiej mi twarzy, żyję w jej sąsiedztwie spokojnie, nie robi na mnie wrażenia legenda poszczękiwania zębami i ostrzenia kosy. Żyję niczym roślina na cmentarzu, która wie, że pewnego razu ot tak przemieni się w młodego wilka patrolującego groby. Jak roślina z embrionalnym wilkiem ukrytym w jej tkankach, gdzie stan pozornej bierności gestu spotyka się z pozorną aktywnością intencji, pozorne jutrzenki ze zmierzchami, pozorne odejścia z powrotami, pozorne życie zaś lepiej godzi się z ideą pozornej śmierci, którą zbudowałem sobie z myślą o śmierci prawdziwej, bez uciekania się do żałośnie naiwnej wizji życia po życiu.

W uścisku pomiędzy śmiercią a pozornym życiem jedynym pewnikiem jest dla mnie miłość. Odkąd życie i śmierć porzuciły antynomiczne pozycje i zaczęły przemieszczać się w przeciwnych kierunkach niczym dwa pogrążone w ciemności pokoje, między którymi otworzyły się drzwi, już nie potrafię uprawiać miłości gdzie indziej niż na skraju mogiły, na skraju mojego własnego grobu. Czuję się dobrze, odkąd wiem, że noszę w sobie martwe ciało, że kobieta, którą kocham, jest widmem i że nasze pieszczoty zdają się ożywać niczym odbicia w lustrze. Bez mistycznych ekshibicji, bez realistycznych lamentów zniosę przejście z formy mgliście zarysowanej do zupełnie rozmytej, z okręgu do gwiazdy, ze zwierzęcia do niezwierzęcia. I nigdy nie zrozumieję, jak ktoś w ogóle może ubolewać – nawet najbliższy krewny – nad śmiercią jakiegoś dyplomaty czy innego rzeźnika, ich przejście z pozabawionego sensu życia organicznego do nieorganicznego nie powinno budzić zainteresowania większego od zainteresowania

losami rozbitego talerza. „Ten proch był kiedyś rzeźnikiem” albo „ten rzeźnik już nie jest rzeźnikiem” – takie frazy wydają mi się kompletnie pozbawione treści, nic mi nie mówią, bo nie wydarzyło się nic, co słowa mogłyby faktycznie chcieć wyrazić, tak jakby nadal mówiło się, że jakiś rzeźnik jest jakimś rzeźnikiem.

Kocham motyla, pająka, kilka kamieni, muszli i kryształów, niektórych ludzi i parę książek. Nie tracę zamięłowania do tych form o unikalnej zawartości, których materialna powłoka utrzymuje świetlistość, przyciąga i uwodzi niczym zjawą. Zjawą – żywą lub martwą, organiczną lub nieorganiczną, cielesną lub cienistą – dopełnia konstelację mojego istnienia jako mglista kochanka. Krucha, lecz godna zaufania, nieprzenikniona i fascynująca rzeczywistość wypełnia mi czas, który mam do przeżycia w tym krajobrazie, i jest to coś, co wydawałoby mi się niemożliwe, gdybym zdecydował się przyjąć faktyczną egzystencję rzeźnika, rodziny, koguta lub biblii jako swoją własną.


Owa rzeczywistość, którą przemierzam we mgle, oswaja mnie z myślą o rozplynięciu się we mgle znacznie gęstszej. Mówię „oswaja mnie” w znaczeniu niedosłownym, podobnie jak wówczas, gdy mawia się, że zasłona oswaja nas z cieniem. Za to czymś, co odczuwam jako bezpośrednią konsekwencję tej podwójnej gry prowadzonej z moim przeznaczeniem, jest straszliwa, symulakryczna dążność mojej miłości do nekrofilii. Oddalam się od żywej kobiety, by móc pokochać zjawę podczas masturbacyjnych nocy, gdy oddaję się miłości z cieniami wielu kobiet naraz. Natomiast w materialnie istniejącej kobiecie nie potrafię dostrzec nic poza szkieletem. Z każdym pocałunkiem rozgrzebuję cmentarzyska, słyszę swój przyspieszony oddech, gdy rozpruwam trzewia kobiety, choć w rzeczywistości pieszczę jej ciało, i czuję grobowy chłód, który jest tym większy, im gorętsze są nasze uściski i im upalniejsze są letnie noce. Usta ukochanej zdają mi się bardziej rozkoszne, gdy udaje mi się rozmasować szminkę z jej warg po całej twarzy, twarzy teraz zaplamionej krwią, która wypełnia mi usta, krwią z ran, z nocnych, dzikich krajobrazów. Najmniejszy hałas, najmniejsze poruszenie, które wyczuwam w środku nocy, nawet błyskawice, jakie towarzyszą naszym najzwyczajniejszym pieszczotom, sprawiają, że drżę na samą myśl, że ktoś mógłby uchylić wieko trumny i przyłapać mnie na gorącym uczynku. Nie dowierzam realności kobiety, która leży obok mnie, bardziej niżbym wierzył w jej nieobecność. W jej nieobecności widzę ją żywą, nawet jeśli jest cieniem, muskam jej skórę, gładzę po włosach. Przy mnie ta sama kobieta przybiera ledwo widoczne, halucynacyjne kontury i byle gest budzi we mnie lęk, że rozsypie się niczym garść pyłu. Nie rozumiem aktu seksualnego, podczas którego partnerzy wykonują jednocześnie serię przeciwstawnych ruchów. Kobieta powinna tkwić pode mną z nerwami ze stali i z zimną krwią, nie ruszać się ani na milimetr w swej trupiej lodowatości, bym mógł

dokonać z jej ciałem aktu aktywnej nekrofilii o napięciu równym ogniowi, a w końcu, niczym nekrofil pasywny, zająć miejsce jej doskonałej nieruchomości, miejsce jej zranionego kwiatu.

Nigdy nie zapominam ukryć w najgłębszym zakamarku mego pokoju noża i nożyczek, których połysk, aksamit i głębię mam zawsze w pamięci, i niczym we śnie wsuwam ich cienkie ostrza w senne podbrzusze, które staje przede mną otworem. Kobieta, którą kocham, jak gdybym śnił, jak gdybym umierał, jak gdybym jeszcze się nie narodził, darowuje mi swoje delikatne zwłoki na ruinach cmentarzyska, podczas gdy w oddali, ze strzelbą przy oku, strażnik próbuje mnie zwieść niczym hiena.

Przełożył Jakub Kornhauser

Uniwersytet Jagielloński

 <https://orcid.org/0000-0002-8904-9788>

Przekład na podstawie:

Gherasim LUCA: *Ecoul pictat cu roșu*. In: IDEM: *Inventatorul iubirii și alte scrieri*. Ed. Ion POP. Cluj-Napoca: Editura Dacia, 2003, s. 190–193.

Za udzielenie zgody na opublikowanie tłumaczenia dziękujemy dysponentowi praw autorskich do opowiadania Luki – wydawnictwu Éditions Corti.